

Bogusław Adamowicz
Zegarmistrz

Mieszkańcy wielkiego miasta nad jeziorem, przechodząc główną ulicą, mogli codziennie oglądać w oknie znanego zakładu zegarmistrzowskiego pochyloną nad kantorkiem inteligentną twarz człowieka w latach podeszłych, przypatrującego się jakimś niezmiernie drobnym przedmiotom.

Był to we własnej osobie główny reprezentant firmy, a zarazem jej właściciel, pracujący ustawicznie nad udoskonaleniem swych wyrobów.

Wysoce uczony, rzadki wynalazca i nieustrudzony pracownik ten, doprowadzić zdołał mechanizm zegarowy do wielkiej doskonałości. Zegarki jego firmy słynęły szeroko po świecie i wszędzie uważane były za najlepsze, za wybornie chodzące, przytem wcale niedrogie, i z tą ważną zaletą, że nie wymagały zbyt częstego nakręcania: nakręcone raz, chodziły długo same, i czasem głośno wybijały godziny...

Mieszkańcy miasta nad jeziorem cieszyli się bardzo ze swego zegarmistrza i z doskonałych zegarków, podług których regulowali z łatwością swe codzienne sprawy, każdą swą czynność zastosowując do właściwej pory - i stąd w całym ich mieście panował wzorowy ład i porządek.

Wszystko więc szło jak najlepiej, aż do chwili, gdy stało się wielkie nieszczęście.

Któregoś dnia, ktoś, widocznie jakiś waryat, stanawszy na samym środku rynku, ni stąd ni zowąd, krzyknął: "Zegarki chodzą fatalnie!"

Obecni mimowoli sięgnęli do kieszeni i spojrzawszy na chronometry, ze zdziwieniem spostrzegli, że to była prawda; zegarki chodziły tak źle jak tylko można sobie wyobrazić.

Wiadomość ta wzburzyła całe miasto. I każdy, kto tylko miał zegarek, pospieszył zanieść go do naprawy.

Mistrz przyjmował zegarki, rozbierał je, badał, przeczyszczał i włożywszy znów do kopert, oddawał właścicielom, zaręczając, że już teraz: "wszystko pójdzie dobrze!"

Jednakże nic nie poszło dobrze. Zegarki coraz gorzej zaczynały chodzić, coraz to kapryśniej i nienaturalniej, coraz to w fantastyczniejszy sposób.

Po prostu rozum straciły.

Nie byłoby jeszcze wielkiego nieszczęścia, gdyby kończyło się tylko na tem gdy u jednych była pierwsza godzina w tym samym czasie, gdy u innych piąta i nawet późniejsza, lub, że u jednych wskazówki posuwały się raz szybciej - to znów wolniej, wtedy, gdy u innych wciąż się cofały, lub stały na miejscu.

Lecz ta niedokładność w godzinach zaczęła dotkliwie odbijać się na sprawach całej ludności. Z powodu ciągłego mylenia się w czasie dochodziło do coraz przykrzejszych nieporozumień.

A najstraszniejsze rzeczy działy się z wielkimi zegarami - z urzędowymi - z ogromnym katedralnym i miejskim wieżowym na ratuszu.

Chodziły one Bóg wie po jakiemu i Bóg wie po jakiemu biły.

Aż którejs nocy naraz takie dziwaczne i głupie, takie niemożliwe zaczęły wydzwaniać godziny, że całą ludność, (żyjącą teraz wyłącznie myślą o zegarach), opanował strach nieopisany. Powstała formalna panika - uderzono w dzwony na trwogę. A huk dzwonów spiżowych, miesząc się z fałszywym dźwiękiem szalejących zegarów, tworzył jakiś waryacki, potępieńczy zgiełk nie do opisania. Ulice wypełniły się tłumem po brzegi. Biegano, krzyczano, tracono głowy. Powstał taki zamęt, że rząd uczuł się zmuszonym, dla przywrócenia spokoju, rozpędzić zbuntowaną ludność wojskiem. Lecz i ten środek nie okazał się dość skutecznym, gdyż z powodu niedokładności w godzinach, nawet wojsko pomyliło rozkazy - zaczęło strzelać za wcześnie...

Wobec takiego stanu rzeczy nie tylko już sama ludność, ale i władze z całą powagą zażądały od mistrza, aby natychmiast doprowadził zegary do porządku.

Mistrz, wyzyskawszy po kolei wszystkie środki i sposoby, na jakie się zdobyć mogła jego olbrzymia, wsparta wieloletniemi doświadczeniami wiedza, przyszedł do przekonania, że nie ma sposobu zaradzenia złemu. Ciężko mu było jednak obwieścić ludowi te prawdy, prawdą zapowiadającą ojczyźnie jeszcze gorsze nieszczęścia, a dla niego samego będącą zupełnym bankructwem firmy.

Na szczęście był on nie tylko wielkim uczonym i zegarmistrzem, lecz i człowiekiem geniuszu, nie poprzestającym na samych naukowych badaniach. Zaczął więc szukać w umyśle innego sposobu, chociażby mniej naukowego, któryby jednak prowadził do pożądanego celu.

I po długich samotnych rozmyślaniach, nareszcie przyszedł do wniosku, że skoro przyczyna nieregularności chodu nie leży w jakimś mechanizmie (gdyż sam mechanizm zawsze był niezaprzeczalnie dobrym), to musi istnieć jakiś głębszy powód tego smutnego zjawiska.

Zegarek jest wyrazem czasu, określnikiem jego i przedstawicielem. Wadliwość zegarków leży widocznie w wadliwości czasów, które reprezentują. Ponieważ zaś każdy zegar chodzi inaczej, stąd wniosek, że i każdy właściciel jego ma czas. odmienny, czyli, że każdy człowiek jest innego czasu i podług innego czasu żyje. Co głowa - to inna godzina...

I spostrzegł mistrz, że czas jednych ludzi jest prędszy, niż czas innych. Że u niektórych osób wskazują zegarki nawet bardzo dawne, zamierzchłe doby, a u niektórych znaczą jeszcze nie nadeszłe chwile... Spostrzegł, że przeszłość z całym szeregiem epok umarłych nie przeszła i kreśli się po wypadkach życia... i że zarówno już przyszłość chodzi po ziemi...

I te wszystkie najprzeróżniejsze i najsprzeczniesze czasy, dziś właśnie, pomieszane jedne z drugimi, pogmatwane, szarpiące się, snują po miastach ludzkich, tworząc ten stan przerażający zamętu.

Wobec tego odkrycia przeszedł go zimny dreszcz grozy i włosy powstały mu na głowie.

Jakże zaradzić złemu?

Trzeba uporządkować czasy ziemskie podług jednego, wspólnego im wszystkim, wielkiego zasadniczego czasu.

Czasy ziemskie regulują się oczywiście podług Zegara Ziemi, do którego należy dotrzeć i na ogólną ziemską godzinę nastawić wszystkie zegary...

Umiarkowawszy kierunek, w którym należało dążyć, wyszedł mistrz z domu w nocy i przyszedł do podnóża wysokiej góry. Tam znajdowała się tajemna, znana tylko nauce jego pieczara, w głębi której było niewidzialne dla niebacznego oka wejście do głuchych, podziemnych korytarzy, rozbiegających się w rozmaitych kierunkach.

Zapuszczając się jednym z nich, głównym, schodził zegarmistrz w zupełnej ciemności coraz niżej w głąb ziemi, zbliżając się ku jej środkowi. Wkrótce jednak zaczęło się robić widniej z powodu jakiegoś magnetycznego światła i w tym czerwonym odbłyску, zarysowały się z lekka kontury wielkich, poszarpanych gładów.

Im głębiej schodził zegarmistrz, tem bajeczniejsze sezamy nieprzebranych bogactw wewnątrz ziemi rozkwierało przed nim. Jak złomy skał, bryły złota i srebra, dyamenty wielkości dużych piaskowców, walały się lśniące w nieładzie, podobne odłamkom słońca, rozbitych gromem wszechświatowej burzy.

Omijając te skarby, uczone szedł coraz dalej. Widział szkielety jakichś stworzeń nieznanymi, wymarłymi dawno na powierzchni ziemi. Skamieniałe smoki, żyjące jeszcze tylko w legendach, monstra koloru

krwawej miedzi, gniewne a nieruchome, zrosnięte z granitem ścian, podtrzymujących sklepienia.

W wyrazie ich tkwiło bezsilne wytężenie wściekłości, jak gdyby pragnęły rozsadzić wiążące ich peta opoki. Chwilami aż zajęczały posady od ich gwałtownego drgnienia...

Zaropiała lava wulkanicznych kraterów, pożuzłowe strzępy gór, pokrywały grunt śliski, nierówny, trudny do przebycia.

Z dołu i z góry dochodziły posępne odhuki pracujących sił jakichś.

Huk podziemnego pożaru pieców lub kuźni, zagłuszany biciem tysięcy gigantycznych młotów, wstrząsał dookoła posadą.

Tam pracowano nad wytwarzaniem niewygasającego ognia ziemi, nad podtrzymywaniem jej wewnętrznego ciepła... .

Nareszcie ujrzał uczony w olbrzymiej, potwornie olbrzymiej pieczarze, znajdującej się w samym środku planety, straszliwy zegar ziemi. Ujrzał okrągłą, fosforyzującą tarczo jego. Magnesowe wskazówki groźnie się obracały, wskazując ponure doby...

Przypatrzwszy się im uważnie i obliczywszy czas mimo całej swej grozy nie mógł się oprzeć zegarmistrz wrodzonej ciekawości. Zaprzagnął zbadać mechanizm straszego zegara.

Wdarł się wiec na granitowe kolumny, które podtrzymywały machinę i zajrzał w jej tajemnicze wnętrze. Olbrzymie, zgrzytające koła żelazne, pordzewiałe, grube sprężyny, ogłuszający chód wahadłowy, grzmotowy szcęk złowrogo wydzwanianych godzin - to wszystko razem nie odstraszyło dzielnego badacza od śmiałych dociekań.

Mniejszym jeszcze niż owad, w stosunku do ogromu maszyny, wyglądał mistrz, łażąc po tych potężnych osiach i trybach, zaglądając uważnie w każde zagięcie, w każdą rdzę śruby, zazębienie koła...

I jakichże tajemnic tam się nie dopatrzył!...

Lecz gdy dokładnie to wszystko obejrzał i poznał całą skomplikowaną budowę - to przekonał się niestety, że podług tego, co widział, nie można nastawiać ludzkich kieszonkowych zegarków, gdyż i ten wielki elementarny zegar, zegar ziemi, nie chodzi dobrze...

Trzeba wprzód uregulować sam zegar ziemi podług jakiegoś jeszcze większego i prawdziwszego czasu. Tym większym jeszcze zegarem jest niezawodnie zegar Słońca.

I niestrudzony badacz wyruszył w dalszą podróż, która już była mniej trudną, gdyż właśnie stamtąd, gdzie się teraz znajdował, zaczynała się najprostsza droga do krainy światła.

Droga ta była gładka, łagodnie wznosiła się w górę i wiodła ku błękitom. Gdy wędrowiec znalazł się już na pewnej wyżynie, odsłoniła się oczom jego szeroka zieleń górską. Tu i tam przecinały ją wężykowate, rozmaicie w niebo biegnące ścieżynki i wstęgi srebrnych potoków, kryształowymi falami opadające w przepaści.

Nad głową widział wspaniałe orły, wyniośle szybujące pod obłokami i słyszał świst piór ich potężnych. A z kwietnych zarośli dochodził śpiew mniejszych złotopiórych ptaszyn.

Spotykał białe postaci; - jak mgła powiewne i przeźroczyste, mające na czołach przepaski z ognia, a w roku łuki z tycz i strzały z księżycowych promieni. Istoty te maczały ostrza ich w woni róż, świeżo rozkwitających na zboczach, napinały tęcze - łuki i pochylone, celując w dół, puszczały swe świetliste groty...

"Strzelają do serc ludzi w dolinie, by zatruć je czarem poezji, świeżością górskich przełęcz i drzeniem księżycowych brzasków..." - pomyślał w duchu wędrowiec.

Zaczęła się długa aleja pomarańczowa, a po niej cyprysowa, a potem aleja z laurów, które wszystkie przebywszy, stanął mistrz przed stolicą z kryształu.

Przysłonił oczy ręką... Bo oto na dyamentowej wieży najświetniejszego z pałaców ujrzał olśniewające zjawisko.

Ujrzał zegar Słońca.

Na jasnej tarczy, wielkiej jak jezioro, zwierciedlił się błękit i

zorce, a tęcze i obłoki winiły się w okrąg, w przeróżne wzory i symbole. Szczerozłote wskazówki stały na wzniosłej, idealnej godzinie.

Lecz doświadczona myśl uczonego i tu nie zdołała się oprzeć chrzci poznania mechanizmu.

Nie zabrakło mu na to odwagi i wytrwałości. Wiec zaczął badać misterna budowa, złożoną z samych promieni, ze złotych snów i marzeń, obracanych przez jutrznie, wijące się w koło i przeplatające wzajem - budowy przedziwną, której każdy szczegół był arcydziełem sztuki zegarmistrzowskiej.

Lecz zbadawszy to wszystko dokładnie, mimo całego podziwu swego i zachwytu, przekonać się musiał i teraz, że nawet ten idealny zegar słońca, nie wskazuje dobrze.

Zasępił się nasz myśliciel. i stał przez chwilę zniechęcony, w zwątpieniu i w rozpacz. I wahał się tylko: czy lepiej wrócić do ludzi z wieścią, że nie ma sposobu uporządkowania ich bytów - czy lepiej z dyamentowej wieży, na której się znajdował, rzucić sili w otchłań i zginąć?

Po chwili jednak przyszła mu znowu myśl. Muszą wszak istnieć jeszcze inne czasy, musi istnieć inny zegar, większy i doskonalszy, niż zegar Słońca i Ziemi.

I poszedł mistrz w strona nieznana, w niezrozumiałym już nawet i rozumowi kierunku, w kierunku, który wskazać mogło tylko błyskawiczne natchnienie geniuszu.

Idąc więc teraz dziwną, niepodobną w niczem do poprzednich drogą, nie tyle już wzrokiem i myślą, co jakąś głębszą, a utajoną władzą ducha przenikał nowe zupełnie zjawiska.

Szedł w dzień i w nocy. A był tam dzień nie taki i noc nie taka, jak na ziemi. Panowało tam inne pojęcie światła i ciemności. Światło i ciemność, następujące kolejno, tworzyły jakieś doby mistyczne, zapadające nie na świat jeden, lecz na wszystkie światy kosmosu. Więc, gdy na ziemi mamy dzień lub noc, zależnie od położenia naszego słońca, w tym samym czasie dla całych systemów planetarnych, zarówno dla słońc, jak i planet, jest dzień lub noc inna, mająca źródło w zupełnie odmiennych, nierozróżnialnych oczyma stworzeń, zmierzchach i świtaniach.

Oto wśród takiej wszechogarniającej Nocy, olbrzymie praświaty i prasytemy światów umarłych zwalone w gruz, na samo dno wieczności i prochem wieków zagrzebane, jak w grobie, ulegają tajemnym jakimś gusłom wszechistnienia. Wyrwane ich zaklęciom, zaczynają się poruszać pod popiołami i ożywiać zjawiska martwych kosmosów. Straszliwe żuźle słońc zaświecają się blado, zbiegają w kształt swój pierwotny i wyciągają ręce w nieskończoność... I wschodzą, jak par z nad mogiły, fosforyczne widma pramgławic... Za nimi upiory gwiazd rozczochranych i trupy planet, czerniejące oczodołami swych nagich, klocowatych czaszek, potwory konstelacyj i ciemne zodjaki i rozwichrzonowłose furey komet zagasłych - wynurzają się z wirum szalonym i uderzają w przestworza.. I oto, ku niepojętej zgrozie naszych uciekających światów trójwymiernych, zaczyna się taniec szkieletów!...

Dzieją się rzeczy, o których gwiazdy opowiadają gwiazdom, koczując narodami po nieskończonym stepie z lazuru...

Zegarmistrz na własne oczy. to wszystko oglądał i serce mu drżało od trwogi i od doznawanej po raz pierwszy nieludzkiej jakiejś rozkoszy.

Co krok spotykał nowe, a ziemi nieznane pokłady materij i ducha.. Jakieś wody - nie - wody rzek dziwnych... jakieś kwiaty - nie - kwiaty...

i dziwne szумы i milczenia... Na skrycie drogi olbrzymie drzewa - nie drzewa, pochylone nad jeziorem; mające barwi wieczności...

I widział jakiegoś starca olbrzymia, przechadzającego się pod drzewami, jak strząsał z nich dojrzałe owoce, podobne do słońc i księżyców... Starzec je podbierał i chował do kwiecistego kosza, lub rzucał w tonie jeziora...

Już był uczony nasz w pobliżu owego Z e g a r a , już czuł obecność jego, już mógł go ujrzeć i dowiedzieć się o niezawodnym, absolutnym czasie...

Nareszcie ujrzał - i choć tam czasy były innego wymiaru - ujrzał, zrozumiał i poznał istotną Godzinę.

Lecz była. ona tak niewysłowienie wielką, a wszystko dookoła tak niewysłowienie pięknem, i taka błogość napełniła mu serce, że w ekstazie tej zapomniał mistrz o wszystkim co dotąd obchodziło go w życiu... zapomniał więc i o drobnych zegarczynach ziemskich, które zamierzał był naprawiać a które wobec tego co teraz poznał straciły dlań wszelkie znaczenie. Nie myślał już o powrocie do ludzi. Postanowił tu zostać na zawsze.

Lecz właśnie w tym niezmiernie błogim stanie w jakim się znalazł obecnie - uczuł nagle szarpnięcie i ostry ból w sercu, a zarazem zgrzytliwy szczęk jakiś uderzył słuch jego - szczęk pochodzący gdzieś strasznie z głębi - z nizin - gdzieś przeraźliwie z dołu.

To na ponurym zegarze Ziemi wybiła jego własna godzina. Któregoś dnia, rano, za kantorkiem znaleziono sztywniejący już trup genialnego Zegarmistrza, który umarł w nocy.